

JÓZEF LASOŃ.

Tajemnice starego dworu.

(Opowieść z walk Legionu na Wołyniu).

1

I.

Puszcze wołyńskie...

Właściwy ich początek sięga okolic Kowla. Ciągłą się kilkusetkilometrowym szlakiem na północny wschód, łączą się z bagnami pińskimi, wybiegając daleko za Dniepr. Nie masz nic groźniejszego, a zarazem wspanialszego nad nie. Pozostały tajemniczymi dla człowieka, którego stopa nie ośmieliła się wdrzeć w głąb dziko rozrósłego drzewostanu; miejscami gaje młodej olszyny lub białych brzoź rosną tak gęsto, że sprawiają wrażenie ładu zboża; chcąc drogę sobie pośród tej gęstwiny utworzyć, trzeba by iść z siekierą w dłoń, krok za krokiem, wycinając drzewko za drzewem, kładąc młody las, jak łąkę zboża sierpem. A i tak po części daremną byłaby ta praca. Nagle kończy się przed stopami śmiałego podróżnika las, a zaczyna się obrzydliwie trzęsawisko; nagle, nawet wśród gęstego gaju, człowiek czuje usuwający mu się z pod nóg rozmiękły grunt, czuje otchłań jakąś, która go żywcem pochłonie, lub bagniste kałuże, do pasa sięgające, zagradzają mu dalszą drogę; kałuża taka, to otwarty grób. Młody spód nie utrzyma ciężaru ciała ludzkiego i natychmiast je pochłonie.

Puszcza składa się prócz gęstego, dzikiego lasu z tysiąca rozmaitych polanek o różnej wielkości. Niektóre z nich ciągną się i na kilkadziesiąt kilometrów wzdłuż, przeważnie w stronę Pińska, więc na północ. Jedne z tych polanek — to piaszczyste wydmy, na których ludzie pozakładali wioski; drugie, to przestrzenie moczarzysk, bagien, jezior o przeczystej wodzie, lub stawów gnijących. I jeśli lasy są pełne niebezpieczeństw dla człowieka, cóż dopiero mówić o przeogromnych moczarach i zielonych łąkach torfowiskach. Zimą, gdy zieleń znika z tych przestrzeni, gdy silny mróz ściśnie lodem torfowisko i moczar taki pokrywa się skorupą lodu, wówczas, zachowując środki ostrożności, można się przez te przestrzenie bezpiecznie przeprawiać.

Latem znów, z wiosną, gdy słońce rozgrzewa promieniami ziemię i lody pod działaniem ciepła topnieją, przyroda bujnie obdarza przestrzenie te wszelakiego rodzaju roślinami. Człowiek widzi przed sobą zieloną toń traw, wabiącą zdala zmęczonego podróżnika do wygodnego wypoczynku na świeżych łąkach. Dopiero, stąpiwszy na brzeg tej zieleni, spostrzeżę się ukryte wśród niej kwiaty; za każdym krokiem gleba staje się coraz bardziej wodnistą, coraz miększą, zapadającą się pod stopami. Im dalej od brzegu, tem więcej daje się odczuwać trzęsawisko, uginające się pod ciężarem ciała. Ale korzonki traw, spoiwszy się silnie, tworzą zapórę; jest to rodzaj przeszcieradła, rozwieszonego nad przepaścią; przeszcieradło to jednakże jest miejscami zbudowane, natrafimy więc na takie miejsce, człowiek zapada się w otchłań. Jeśli obydwie nogi naraz zapadną się, wówczas dla podróżnika niema ratunku, chyba, że zdołał rozkrzyżować ręce i oprzeć się na nich, o ile dookoła niego, wokół dziury, do której się dostał, korzenie traw silnie są ze sobą spojone. Wtedy może myśleć jeszcze o ratunku i wydobyć się z zdradzieckiego bagna.

Tak samo i w lasach. Tylko, że korzenie drzew, tworząc silniejszy i gęstszy podkład, dają większą możliwość ratunku. Choć i tu czasami, obok drzewa, otwiera się polipowa jama mulista.

Polanki piaszczyste tak samo trafiają się ogromne. Są to, jakby wyspy piasku, naniesione przez wichry, niewiadomo skąd. Nie rośnie na nich ani źdźbło trawy, miejscami tylko osamotniona sosna lub świerk sterczy pośród piachów, jak palma pośród pustynnej Sahary.

Roślinność lasu, jakkolwiek obfita, niezbyt jest jednak różnorodna. Wrzos, leśny fiołek, poziomki, wogóle wszelakie jagody, jaskier i tym podobne, gdzieindziej znów, prócz piachu, na którym od dziesiątek lat leżą zbudowane szyszki i iglice pożółkłe sosen, nie spotkasz żadnej rośliny. Powierzchnię gruntu stanowi tu gruba warstwa, sięgająca do kilku centymetrów, zeschnięte iglice, z roku na rok z drzew opadających.

Krajobraz wskutek tego jest przytłaczająco jednolity — naprzemian bagna, lasy, polanki, torfowiska bez końca. Jeszcze latem, gdy zaroi się od ptactwa i zwierząt, gdy drzewa pokryją się liśćmi,

człowiek rozkoszuje się tu życiem; zimą krajobraz martwieje, nabierając grozy.

Na tych polankach piaszczystych ludzie wybudowali sadyby, powoli powstawały wioski o szerokich traktach drogowych. Chaty drewniane, kryte słomą, obok nich małe skrawki ziemi, po długich latach uprawy przemienione w urodzajne zagony. Zagony ziemniaków, łąk żyta lub jęczmienia — oto wszystko. Były to zresztą tylko zagony, niezbędne do wyżywienia danej rodziny, zamieszkującej chatę. Lasy dostarczały wszystkiego. Jeziora zarybione karmiły wsie. Mieszkańcy przeto mało zajmowali się uprawą roli, natomiast wypasając dużo bydła; zresztą to, co im wokół dawała ziemia i przyroda, wystarczało na niezbędne ich potrzeby. Wymagania ludzkie zresztą są tu niewielkie. Nędzota chat świadczą o tym wymownie.

Wioski w przeważnej części ogromne, rozciągnięte, niektóre kilkukilometrowe. Chaty usadowiły się wzdłuż drogi, jednym końcem przytykając lasów, drugim bagnisk. Były to przeważnie, niby długie ulice, ustawione wzdłuż traktów. Ozdobą wsi takiej był dwór, cerkiew, cmentarz lub krzyż wysoki, w środku drogi wystawiony, z godłami męki, z chustami św. Weroniki, przybitemi do podnóża krzyża. Nie widać było nigdzie katolickiego kościoła, zato sterczały drewniane, malowane cerkwie o błyszczących kopułach. Cmentarz wioski — to las przeróżnej wysokości krzyżów. Im znaczniejsza figura wsi szła na wieczny spoczynek, tem wyższy krzyż stawiano. Dlatego też stare cmentarze unickie na Wołyniu robią wrażenie lasu krzyży, począwszy od kilkucalowych, a skończywszy na kilkunastometrowych. Po drogach również stały wysokie krzyże, z godłami unickimi.

Drogi, prowadzące od wsi do wsi, były jeśli nie piaszczyste, to bagniste. Którędy było najlepiej dojeżdżać lub dochodzić, mieszkańcy obierali to miejsce za drogę. Nie miał kto porobić szos, stałych gościńców, przeto każdej pory droga kołowa i pieszka była uciążliwa.

Były znów wioski, latem zupełnie odcięte od świata, dobrą zimą jedynie można się było tam dostać. Wokół takiej wyspy rozciągały się jeziora, bagniska i torfowiska. Mieszkańcy takich wsi zimą wybierali się do większych miast po zakupy soli, narzędzi gospodarczych i tym podobnych rzeczy, pozatem nie mieli żadnej styczności ze światem. Zyli i wystarczali sami sobie. Niejeden, czy niejedna z takiej osady, poza wsią swoją nie widzieli nic w życiu. Tu się rodziła i umierała.*

Ludność przeważnie ruska, prawosławna, pośród której osiedlali się Polacy. Dwory jednak przeważnie polskie. Zresztą tu, na tej ziemi, odbywała się tragedia Unitów. Ostatnimi jednak czasy przeważała tu ludność prawosławna, uznająca siebie za rdzennie rosyjską.

Taki mniej więcej stan trwał przed wojną. Podczas wojny dużo się tu zmieniło. Z przesunięciem się linii bojowej w te okolice, żołnierz Legionów miał dwa ciężkie zadania: pokonać wroga i opanować przyrodę, bezdenne topieliska, puszcze, gdzie stopa ludzka poprzednio nie stąpała.

Trzeba się było wdrzeć w królestwo bagien, przeprowadzić drogi, zbudować osady, nie mówiąc już o samych liniach obronnych. Latem milionowe armie komarów i jadliwych much dręczyły człowieka; lasy obfitowały w jadowite żmije. Tu bliżej linii leżące wioski wyewakuowano. Tam, wśród bagien i lasów, porobiono drogi, niedostępne miejsca udostępniono.

To wszystko uczyniła wojna.

Żołnierz, staczając walki z wrogiem, musiał żyć przez długie miesiące w dzikiej puszczy, narażając każdej chwili życie. Wyrosła tam ogromna ilość mogił, gaje brzoźowych krzyży, pokropiono puszcze te obficie krwią — dlatego są nam drogie. Mają w sobie świętość krzyżowych dróg, mają w sobie legendę: „z krwi i znoju Polska powstanie, by żyć!”

W bagnach tysiące legło ludzi nieznanych. Niejeden ranny, niejeden żywy pochłonięty został, nie mając nawet czasu westchnąć do Boga.

Z dworów, chat i wiosek niektórych nie pozostało nic, prócz gruzów i ruin. Tam, gdzie przeciągnęła się linia bojowa, lasy ścięte granatami, niby łąkę zboża sierpem skoszony, zostały kominy chat, niby zbudowane krzyże cmentarzy.

Kiedyś zagoją się blizny lasów, porosną powrotnie gaje, deszcz i śnieg spłucze spalenizny, chłop postawi na gruzach świeże sadyby; ale nie powstaną już ci padli rycerze, nie zaginie też może ich pamięć i przejdzie w pokolenia.

*) Na osady takie natrafiono podczas patroli pod Lisową w 1916 r. Ludzie ci nie mieli pojęcia o tem, że wojna trwa już szereg miesięcy i przeniósł się na ten teren.

II.

Na prawo od stacyi kolejowej Maniewicz biegnie droga do wsi Maniewicz. Wieś, oddalona od stacyi kolejowej o jakie dziewięć wiorst, stała na piaszczystym wzgórzu, od stacyi skryta gęstym borem. — Stąd, jadąc piaszczystym traktem, dojeżdżało się do Gałuzi, wioski sprawiającej wrażenie miasteczka, którego przedmieściem była Wólka Gałuzińska. — Szosa bita, wychodząca z Gałuzi, ciągnęła się przez moczarzyska, skrawek lasu, a dochodząc do Wólki, kończyła. W Gałuzi, prócz dużej cerkwi, rozsiadły się dwa dwory, obydwie drewniane; gdy pierwszy z nich był prawie że początkiem wsi od strony Maniewicz, drugi stał u drogi, biegnącej do Wólki. Wieś była rozległą dwukilometrowy wąż chat składający się na nią. Ziemi uprawnej mimo to nie dojrzałeś; zaniedbane sady, małe grządki warzywne, gdzieś pośród piachów łąk owsa, składały się na całość uprawnej roli.

Dwór, przytulony do skraju lasu, należał do jakiejś rodziny Brodzkich, czy Grodzkich, podupadłej szlachty polskiej, z dziada pradziada posiadającej ten skrawek ziemi pośród puszczy wołyńskiej.

Na pół drewniany, na pół murowany, otoczony wiekowymi lipami, sprawiał wrażenie przyjemne. — Wijące się gałęzie winogrodu spłotyły się dookoła oszklonej werandy, a raczej ganku, do którego wiodło kilka stopni drewnianych. Ganek taki właśnie, to ozdoba każdego dworu w Polsce od najdawniejszych czasów. Tak, jak zamek rycerski zbrojny był w baszty i wieżycy, tak dwór każdy zdobny był w ganek. Za dworem rozlegały się pola warzywne, starannie uprawne, grządki kwiatów, krzaczki porzeczek, agrestu, róż.

Szereg pokoi z lewej strony zamieszkiwany był przez rodzinę pana domu, człowieka lat przeszło pięćdziesięciu, o długiej, poważnej, dobrze siwiejącej już brodzie, sumiastych wąsiskach, wytłuszczonej orlim nosie, niebieskiej żrenicy, energicznie patrzącej. — Wysoki, barczysty, robił wrażenie patriarchy szczepu słowiańskiego.

Druga część dworu zajęta częścią na kancelaryę, częścią były tu saloniki bawialne. Zaraz za kancelaryą była salka, przeznaczona na bibliotekę; szereg oszklonych szaf, zza których szyb wyglądały złoczone napisy książek; obok literatury polskiej, najwięcej zajmującej miejsca, piętrzyły się tytuły dzieł francuskich autorów, angielskich, rosyjskich, niemieckich w tłumaczeniach i oryginałach. Jedna z szaf, przeznaczona na pergamiń i przeróżne akta, w wzorowym porządku posortowane, mieściła w sobie archiwum rodzinne, pamiątki powstań polskich. Dopełniały tu umeblowania długi dębowy stół, z takimże obok krzesłami; w rogu pokoju biurko, zastane przeróżnymi aktami, świadczyło, że szlachcic często długie godziny pracy poświęcał swoim pergaminom i bibliotece. Drugi z pokoi, salka, niby rycerska, obwieszona z dwóch stron na ścianach przeróżnymi zbrojami i bronią. Portrety przodków w czarnych, lśniących ramach, mówiły również o dawnych czasach.

Z pokoiku tego wchodziło się do dość dużego salonu, którego ściany obwieszono obrazami; były tu obok pejzażów epizody polskich wojen, w złoczone ujęte ramy. Szereg rzeźbionych foteli, karła, atlasem wybijane kanapki dookoła stolików, fortepian starej daty, ponad nim zegar olbrzymi, wszystko to raczej rzeczywistej służby potrzebnie, niż dla ozdoby. Białe, ręcznie haftowane firanki, owoc długiej pracy ręki niewieściej, zasłaniały duże okna, podzielone na drobne kratki szybek.

Na lewo zabudowania dworskie, budynki dla służby, stajnie i obory dopełniały bogactwa dworu.

W jesienny wieczór 1915 roku, gdy szarżyzna nocy poczęła powoli opadać na ziemię, siedział w bibliotece Grodzki, ukrywając zamyśloną twarz w dłoniach. Od czasu do czasu palce kurczowo zaciskały się na czole wyniosłym, przełamującym się, wijącym zmarszczkami pod wpływem myśli, które mu mózg opowiadały.

Burza wojenna przybliżała się w ich stronę, linia bojowa coraz bardziej się zaciskała. Już i po drogach uwijały się dniem i nocą setki żołnierzy rosyjskich, pracujących bezustannie tam i z powrotem. Człowiek w takich razach nigdy nie może powziąć stanowczej decyzji. Jeszcze dla człowieka, którego nie nie wiąże z siedzibą, opuszczenie jej nie stanowi nic szczególnego. Ale, aby zostawiać kolebkę ojców swoich, kilkunastu lat pracy dorobek na zagładę, iść, uciekać z rodziną na niepewny los jutra, trzeba się dobrze z sercem i duszą porachować.

Grodzki wahał się między jednym a drugim. Wreszcie, postanawiając coś stanowczego, otworzył drzwi od biblioteki i zapytał łagodnym głosem: — Maniu, Wacek wrócił?